

bieskie ptaki

Wartko płynący ze strefy Gender strumień euro niepostrzeżenie odmienił nasze miasteczko. Rzutki, a na piar czuły burmistrz upiększył kostką brukową co się dało. Dla uzyskania lepszego efektu sfinalizował większość swoich estetycznych, godnych włodarza pomysłów na dawnym targowisku, które jeszcze za komuny zostało podniesione do godności centralnego placu, nazywanego przez autochtonów Rynkiem. Upiększona zadrzewionym skwerem owa wyrwa po zakazanym przez komuchów szemranym handlu z roku na rok nabierała typowej dla prowincjonalnych dziur swojskości. Rachityczne trawniki pokryła sieć wydeptanych ścieżek, skracających kilometraż wędrówki ludziom, łąącym w poszukiwaniu niezbędnych do przeżycia towarów, w upaństwowionych, pożydowskich sklepikach. O letniej porze, nieliczne ławki z powyrywany deskami, malowane lichą farbą raz w roku, zawsze przed 1 Majem, okupowała nieliczna raczej żulia. Widoku dopełniali etatowi alkoholicy, których według zapewnień władzy ludowej w ogóle miało nie być. Ten sarmacki krajobraz nie oparł się jednak sile niemieckich pieńędzy. To straszne zadupie w szybkim tempie nabrało estetyki porównywalnej do przynależnej schludnym, bawarskim miejscowościom.

Ludzie też jacyś inni. Zamiast wydeptywać, jak kiedyś bywało rachityczne trawniki lichymi butami podjeżdżali teraz sprowadzonymi z niemieckich szrotów audicami, żeby zaparkować swoje dumne bryki przed zawalonymi wszelakim dobrem marketami. Na ekskluzywnych ławkach parkowych zasiadali nowi menele. Szpanujący przybrudzonymi, chińskimi podróbkami markowych, zachodnich ciuchów, uraczeni aromatem i mocą nalewek na odkażonym spirytusie ciągnęli sobie dla kurażu browarki z metalowych puszek. W niczym nie przypominali zapitych oberwańców z minionej epoki. O historycznej ciągłości z tamtymi pariasami socjalizmu przypominały tylko ich czerwone gęby ozdobione nosami w kolorze siwego fioletu i podobna mocno bełkotliwa gadka. O ile sposób wymowy i język plugawy tej nowej, kasty patologicznej były reliktem sarmackiej tradycji pijackiej, to samoocena parkowych rezydentów i treść toczonych przez nich sporów daleko odbiegała od zakompleksionej mentalności ich peerelowskich poprzedników. Agresję tamtych skutecznie gasiła milicyjna pałka, a byt kształtował strach przed wszechpotężną władzą gliniarzy i mściwością ormowców. Następcy, nadający centralnemu skwerowi swoisty koloryt, to już prawdziwe paniska, znający swoje prawa, a nieprzyjmujący na siebie jakichkolwiek obowiązków. Posiedli natomiast optymalną wiedzę o powinnościach władzy wobec nich. Napawali się patriotyczną dumą, szczególnie od czasu, kiedy zabiegająca o głosy w wyborach populistyczna partia obdarzyła ich górnolotnie tytułem suwerena.

Ta nowa kasta patologiczna psioczyłaby sobie bezkarnie i do woli na złodziejskie elity, pomstowała na drażniącą ich dumę nadmierną dociekliwość urzędników magistratu przyznających zapomogi i na szczupłość wypłacanych im jak z łaski kwot, gdyby nie nadmierna ambicja burmistrza Anastazego, Otóż włodarz ów uznał, chyba przedwcześnie, że chleba dosyć, więc potrzebne są igrzyska. A że człowiekiem był ze wszech miar ambitnym nie zadawało go disco polo na dorocznych dniach miasteczka i postanowił obdarzyć współobywateli wydarzeniem kulturalnym z wyższej półki. Jak postanowił, tak uczynił. Oglądając w telewizji relację z warszawskiej Zachęty zobaczył na ekranie znajomą twarz. Po chwili skojarzył sobie, że wychwalany przez luminarzy kultury twórca, to jego kolega ze szkolnej ławy. – O

to mi chodziło – zawołał. Ni zwlekając przypomniał się mistrzowi przez internet i zaproponował kontrakt na wydarzenie kulturalne najwyższej rangi dla znudzonego dobrostanem ludu.

Artysta, którego imienia nie zdradzę miał pełne szuflady dyplomów, a regały zapchane licznymi statuetkami. Cierpiał natomiast na chroniczny brak gotówki. Nic więc dziwnego, że w try miga zjawił się miejscowości rządzonej dotąd szczęśliwie przez Anastazego. Zanim jednak odwiedził przyjaciela w bogato wyposażonym gabinecie pospacerował sobie po nowiutkich chodnikach z brukowej kostki. Podziwiał ekskluzywne ławki na centralnym skwerze i porozmawiał z okupującymi je menelami nowego formatu. Nie od dziś wiadomo, że genialne pomysły przychodzą ludziom do głowy podczas spacerów. Tak było i tym razem. Zanim nasz geniusz sztuki dotarł do Ratusza miał gotowy plan artystycznej prowokacji godnej największych galerii wystawienniczych. Po gorącym powitaniu zapoznał z nim burmistrza Anastazego. Burmistrzowi pomysł szkolnego kolegi z początku wydawał się nieco ekscentryczny. Wahał się przez chwilę, lecz sława wielkiego artysty przeważała szalę na rzecz wdrożenia niecodziennego eksperymentu.

Przygotowania do zaprezentowania lokalnej publiczności przełomowego dzieła polskiej awangardy przebiegały w zupełnej tajemnicy. To miała być szokująca niespodzianka, która po zaszokowaniu miejscowych wypłynie za sprawą głównych mediów na kulturalne wyżyny, gdzie olśni zarówno koneserów sztuki przez wielkie S, jak i spragnionych artystycznych przeżyć szeregowych konsumentów kultury, oraz stanie się dominującym trendem nowoczesnej awangardy.

Pewnego, wiosennego dnia jeden z meneli zwany Framerem dostrzegł wiszący na dorodnym, wymodelowanym przez firmę od liftingu parkowej zieleni dorodnym klonie, pomalowany na jaskrawą czerwień niewielki obiekt. To coś jako żywo przypominało budkę lęgową dla ptaków. – O qrwa - zawołał Framer i wskazał ręką w kierunku przytwierdzonego do pnia małej, dziwnej budowli. W jego głosie brzmiało zdumienie poszyte ekscytacją. Ten okrzyk zaalarmował i wzbudził niepokój pozostałych meneli okupujących owe, ekskluzywne, parkowe ławki. Zaczęli się więc gromadzić wokół kolegi i patrzeć w kierunku wciąż wskazywanym przez jego wyciągnięte ramię. – O qrwa – powtarzali za Framerem jeden po drugim. Ich zdumienie obudził fakt, że ta z pozoru normalna budka lęgowa nie miała żadnego otworu wejściowego. Podekscytowanie tych ludzi przerodziło się w szok, kiedy dostrzegli, na pozostałych drzewach rosnących na skwerze identyczne zaślepione domki, jakoby do użytku ptakom przeznaczone.

Po drugiej stronie ulicy, w samochodzie za zaciemnionymi szybami burmistrz Atanazy i jego przyjaciel awangardowy artysta triumfowali. Artystyczna prowokacja przyniosła już pierwszy, oczekiwany efekt, choć był to zaledwie początek eksperymentu. Następne elementy tej audiowizualnej, prowokującej instalacji miały być kolejno prezentowane w żywym, miejskim plenerze.

Dalej akcja potoczyła się wartko jak w kalejdoskopie, chociaż nie zupełnie tak, jak zakładał artystyczny projekt. Wieść o szkarłatnych budkach lęgowych potoczyła się przez miasteczko, z ust do ucha, z ucha do ust. Ludzie liczniej jak zazwyczaj spacerowali po śródmiejskim skwerze podglądając ze wszystkich stron owe ptasie domki z nadzieją, na znalezienie jakiegoś racjonalnego wytłumaczenia dla tego niecodziennego zjawiska. Nie znajdując żadnego praktycznego sensu w tej dziwnej ekspozycji odchodzili ze wzruszeniem ramion. Nie dotyczyło to meneli, którzy uznając skwer za przynależne im siedlisko nie ukrywali swego oburzenia na burmistrza, który nie dość, że bez żadnych konsultacji zakłócił im życiową przestrzeń, to jeszcze zmarnował miejskie pieniądze, co mogłyby być przeznaczone na większe zapomogi. Wprawdzie dobrze poinformowani, postronni obserwatorzy tłumaczyli rozeźlonym beneficjentom Pomocy Społecznej, że eksperyment z instalacją ślepych domków ptasich został sfinansowany ze środków unijnych. To jednak nie studziło rozpalonych głów zasobnych w wiedzę o unijnym dofinansowaniu inwe-

stycji samorządowych. Jasnym jak słońce warunkiem pozyskania euro z Brukseli było zaangażowanie pieniędzy z miejskiej kasy. Oni to wiedzieli. Wczesnym popołudniem gniewny nastrój żulii zaczynał osiągać stan wrzenia. Menelska brać oczekiwała jakiejś konkretnej decyzji od Pychola, który z racji fizycznej krzepy i wrodzonej agresywności był niekwestionowanym szeryfem miejskiej, szemranej subkultury. – Co robimy Pychol? – dało się usłyszeć z tumultu na skwerze. Według mnie trzeba iść nabluzgać burmistrzowi – odpowiedział watażka. Tyle, że zegar na kościelnej wieży czwartą już pokazuje. Dziś za późno, ale jutro zrobimy niezłą drakę – dodał.

Następnego dnia tępy kac studził menelom wczorajszy zapal. Wisząca nad miasteczkiem awantura opadła jak woda wezbrana na chwilę po wiosennej burzy. Życie wracało powoli na utarte tory. Pozostało jeszcze pozdejmować z wypielęgowanych drzew nieszczęsne budki, żeby przywrócić ludziom należny im dobrostan. Tak się niestety nie stało, a to z powodu wdrożenia drugiego etapu artystycznego drażnienia jaźni potencjalnych konsumentów kultury z wyższej półki. Otóż to. Jeszcze nie przestała czynić społeczny zamęt wizualna ekspozycja, a już zaczynała działać powiązana z nią audioprowokacja. W pewnym momencie spostrzegawczy Framer usłyszał w koronach drzew dziwny dźwięk. Niby to krakanie wrony, ale podszyte jakimś podszeptem. – Chłopaki, w tych budkach coś siedzi i skrzeczy – zawołał nie na żarty wystraszony. – We łbie ci chyba skrzeczy – zrugął go kumpel. Już miał szturchnąć lebiegę, kiedy sam usłyszał nad głową jakieś chrobotanie. Po nim podobne dźwięki usłyszeli inni. Jakieś czary czy co? – pytali jeden drugiego. Nie byli jednak pewni, czy aby te pohukiwania, szepty i kwiczenie nie były wytworem ich wyobraźni wzmocnionej trunkami nabytymi po odebraniu z Urzędu kolejnej transzy należnych im świadczeń. Dopiero skracający sobie drogę przez skwer klienci jednego z dyskontów upewnili ich, że jednak nie stali się ofiarami zbiorowej halucynacji. W centrum miasteczka załęgły się, w biały dzień jakieś niewidzialne demony. Wytrącona z tołku patologiczna brać potulnie usiadła na ławkach, i wtedy o dziwo szmery i trzaski ponad ich głowami najpierw przycichły, a potem całkiem umilkły. Słyszać było tylko ćwierkanie wróbli, co jeszcze pogłębiło konsternację tubylców. W tej małomiasteczkowej ciszy zabrzmiał głos Framera. – Chłopaki, może lepiej rozejdźmy się do domów? Niektórzy, co bardziej lękliwi posłuchali. Opuściwszy stylowe siedziska ruszyli każdy w swoją stronę. Daleko nie uszli. Każdego uchodzącego zegnały chrapliwe dźwięki. Kiedy absztyfikant przybliżył się do jakiegoś miejsca w jego głowie budził się poszum, z kolejnym krokiem zmieniający się w ironiczny chichot, potem w ponury bełkot. Idąc dalej delikwent wkraczał w strefę ciszy, ale nie na długo, bo za kolejnym drzewem witał go jakiś jęk powoli przechodzący w jazgot godny polityka dobrej zmiany.

Tego już było parkowym suwerenom zbyt wiele. Zaczęli się burzyć przeciw, ale nie bardzo wiedzieli przeciw komu. Od czego jest jednak przywódca. W centrum akcji wkroczył wkurzony Pychol. Wskoczył na ławkę i zawołał. – Panowie, przejrzałem właśnie tę grę. To wredne działanie burmistrza, który chce nas w ten sposób wypieprzyć z naszego siedziska, które się nam należy jak psu zupa. Nie możemy na to pozwolić – krzyczał, a coraz głośniej wtórowały mu głosy meneli, którzy nagle nabrali takiej odwagi, że dużej wielkości draka wisiała w smętnym powietrzu..

- To może chodźmy do Urzędu zaprotestować przeciw dyskryminacji obywateli miasta – nieśmiało zaproponował Framer.

- Takie tam – wrzasnął Pychol. Nie będziemy słuchać kolejnej ściemy. Teraz potrzeba radykalnych rozwiązań – pieklił się wódz.

- T co mamy zrobić? – padły zewsząd pytania.

- Jak to co? Trzeba burmistrzowi dopie...lić – krzyknął Pychol i próbował rozerwać ławkę w celu po-

zyskania broni stosownej dla poskromienia marnotrawnego ojca miasta. Solidne siedzisko stawiało jednak mocny opór, więc dał spokój i wyrwał palik ochraniający niedawno posadzone drzewko. Patologiczna brać poszła jego śladem i jęła rwać owe paliki, a nawet łamać drzewka szykując się do szturm na Urząd Miejski.

Aspirant Kozak był wściekły. W zaciszu miejskiego komisariatu od rana rznął w karty. Na przemian w oczko i pokera. Tego dnia karta mu nie szła i sporo już przegrał. Walnął ze złości kartami o biurko i spoj-rzał na monitoring, To co zobaczył już całkiem go rozwścieczyło.

- Chłopaki patrzcie co te chu...e robią w na centralnym skwerze – zwrócił się do czterech podległych mu policjantów.

- O qrwa – wołali jeden po drugim funkcjonariusze.

Po chwili we czterech siedzieli już w policyjnej suce. Na komendzie zostawili tylko dyżurnego i porzuconą talię kart. Radiowóz błyskawicznie pojawił się obok miejsca chuligańskiej rozróby. Wyskoczyli z niego nabuzowani złością funkcjonariusze.

- Chłopaki, psy idą na nas – wrzasnął jeden z meneli.

- Nikt ich tu nie zapraszał – syknął przez zęby Pychol i rzucił kijem do nadbiegającego policjanta. Policjanci zatrzymali się, a nawet nieco się cofnęli. Ponieśli do góry długie, białe pałki i rzucili się do ataku na przygotowaną do stawiania oporu żulię. Pokaz policyjnej siły okazał się skuteczny. Ktoś krzyknął – Chłopaki spier...my. Jako pierwszy dał dyla Pychol. W ślad za nim w popłochu rozpierzchli się pozostali. Łobuzom udało się zbiec, po tym jak przemieszali się z grupą pasażerów wysiadających z autobusu. Framer nie uciekał, bo nie poczuwał się do winy. Po skutecznej rejteradzie agresywnych prowodyrów policjanci z konieczności pochwycili lebiegę. Skuli mu ręce kajdankami, Do rzuconego na trawnik niedojdy przystąpił szef patrolu i jął go razić nowiutkim paralizatorem. Z bezpiecznej odległości przyglądała się tej zaimprovizowanej egzekucji wyciszona gromada gapiów. A wysoko gdzieś, w koronach parkowych drzew, niczym modernistyczna prowokacja, błdziły przeciągłe jęki i chrapliwe wrzaski katowanego człowieka.

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelakiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

wdajcz, dodano 12.06.2017 09:40

Dokument został wygenerowany przez www.portal-pisarski.pl.